

Wykopcie i zlikwidujcie ten polski, szpiegowski brud

Z profesorem Andrzejem Nowakiem, kierownikiem Zakładu Historii Europy Wschodniej Uniwersytetu Jagiellońskiego, znawcą stosunków polsko-rosyjskich, rozmawia Ireneusz Dańko

IRENEUSZ DAŃKO: W tym roku mija osiemdziesiąt lat od „operacji polskiej” NKWD w Związku Sowieckim. Szacuje się, że pochłonęła około dwustu tysięcy mieszkających tam Polaków, czyli dziesięć razy więcej niż zbrodnia katyńska. Tymczasem operacja ta wciąż jest znacznie mniej znana i upamiętniana, mimo że obie były dziełem tej samej sowieckiej machiny terroru. Jak to wyjaśnić?

ANDRZEJ NOWAK: Bardzo długo brakowało informacji o tej masowej zbrodni. W latach 1937-1938, kiedy do niej doszło, napływały tylko słabe echa do polskich placówek dyplomatycznych, nie zostały one podjęte przez władze II Rzeczypospolitej. Częściowo tak się działo wskutek pogarszającej się sytuacji geopolitycznej: Polska była wtedy zagrożona coraz wyraźniej od zachodu i nie miała planu skutecznej walki jednocześnie z III Rzeszą i Związkiem Sowieckim. Wbrew dzisiejszej propagandzie rosyjskiej, nasz kraj nie był sojusznikiem Adolfa Hitlera i bynajmniej nie zamierzał wiązać się z Niemcami przeciw ZSRS. A tylko w takim układzie, gdyby Polska wybierała się w awangardzie

hitlerowskiego ataku na Związek Sowiecki, miałyby polityczny sens drażnienie sprawy, która dodatkowo mogła zantagonizować Polskę z sowieckim sąsiadem.

Skala zbrodni popełnionych na Polakach w latach 1937-1938 wyróżnia się nawet na tle masowego terroru w państwie sowieckim.

„Operacja polska” to była absolutnie największa, najbardziej krwawa akcja ze wszystkich, jakie NKWD przeprowadziło przeciw konkretnej grupie narodowościowej. Wystarczy podać, że Polacy stanowili wówczas zaledwie 1,2 procent mieszkańców ZSRS, a prawie 40 procent wszystkich zabitych w wyniku stalinowskich represji. Profesor Terry Martin, historyk Uniwersytetu Harvarda, obliczył, że w czasie „wielkiego terroru” lat 1934-1939 Polak w ZSRS miał trzydzieści jeden razy większą szansę zostać rozstrzelanym niż przeciętny mieszkaniec Kraju Rad.

Dlaczego wiedza o masowym mordowaniu polskiej ludności przez oddziały NKWD była tak nikta?

Ówczesny Związek Sowiecki był państwem totalitarnym w pełnym znaczeniu tego słowa, osiągnął szczyty doskonałości w kontroli i zastraszaniu swoich obywateli, a co za tym idzie, także w nadzorze nad obiegiem informacji.

O stalinowskim terrorze i pokazowych procesach mówiło się jednak i pisało już wtedy na całym świecie, w tym również w Polsce.

To prawda. Uwaga opinii światowej skupiała się na otwartych, pokazowych procesach w Moskwie, w których sądzona była stara bolszewicka gwardia. Skazywano w nich ludzi o znanych, nie tylko w ZSRS, nazwiskach. Z innego powodu interesowano się też rozprawą z sowiecką generalicją: trudno wszak ukryć, kiedy znika nagle trzech z pięciu marszałków Armii Czerwonej. Od tamtej pory utrwalił się taki obraz, rozpowszechniany między innymi przez byłych komunistów rozczarowanych „ojczyzną proletariatu”, że oto istota „wielkiego terroru” polegała na rozprawieniu się przez Józefa Stalina z dawnymi towarzyszami, którzy w jego mniemaniu zdradzili rewolucję i dążyli do przejęcia władzy. Stało się tak, choć działacze komunistyczni byli jedną z najmniej licznych grup wśród ofiar stalinowskich represji. W latach trzydziestych ubiegłego wieku zostało rozstrzelanych w sumie około 681 tysięcy osób w Związku Sowieckim, z czego 40 procent, według oficjalnych danych NKWD, pochłonęły „operacje narodowościowe”, a wśród nich najliczniejszą grupę stanowili właśnie Polacy.

W następnych dziesięcioleciach także niewiele mówiło się o „operacji polskiej”.

W PRL pamiętano głównie o likwidacji Komunistycznej Partii Polski przez Stalina oraz wymordowaniu jej działaczy i współpracowników, którzy (jak choćby poeta i pisarz Bruno Jasiński) w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku przyjechali do Związku Sowieckiego. W istocie zaś komuniści stanowili niewielką garstkę wśród zabitych Polaków, ginęli na ogół jako ostatni, można by rzec, że wyznawany komunizm najdłużej ich bronił przed rozstrzelaniem przez NKWD.

Zginęli jednak niemal wszyscy, którzy przebywali wówczas w ZSRS.

Stalin po prostu im nie ufał. Przynależność partyjna chroniła tylko przez pewien czas, ale skoro mieli związki z Polską, to uznano, że mogli współpracować z Polską Organizacją Wojskową i trzeba ich zlikwidować.

Jakie były kryteria wyboru ofiar?

Wystarczyły jakiegokolwiek związki z Polską i polskością lub choćby podejrzenie o nie i już można było zginąć. To była masowa operacja, ludobójstwo w czystej postaci. Mordowano głównie mężczyzn – mieszkańców wsi (co drugi zginął), kobiety i dzieci wywożono zwykle do Kazachstanu. Zawiniли tylko tym, że byli Polakami. Sowieckie władze stosowały kryterium, można by rzec, narodowosocjalistyczne. To narodowość rozstrzygała o czymś życiu lub śmierci.

Większość ofiar stanowili zwykli, prości ludzie. Nie miał się kto o nich upomnieć, brakowało świadectw – ustnych i pisemnych. Rosyjscy pisarze, jak na przykład poetka Anna Achmatowa, która stworzyła poruszający poemat *Requiem*, opiewający losy takich jak ona matek aresztowanych wtedy synów (w jej przypadku – Lwa Gumilowa, wybitnego później geografa i ideologa), sprawili, że wielki terror 1937-1938 roku wszedł do świadomości historycznej i w Rosji, i na Zachodzie jako jeszcze jeden przykład cierpienia samej Rosji. Współczuciem obejmowano przedstawicieli wielkiej kultury rosyjskiej, którzy wtedy ucierpieli. O masowych mordach na Polakach czy następnych w kolejności Niemcach, Finach, Grekach nikt wtedy nic nie pisał. Tym bardziej dziś powinniśmy czuć większy obowiązek, aby upomnieć się o ludzi, o których, jak się mogło wydawać, zapomniała historia.

W ostatnim ćwierćwieczu nic nie stało już na przeszkodzie, aby przywrócić pamięć o ofiarach „operacji polskiej”, a jednak wciąż daleko im do takiego upamiętnienia jak w przypadku zbrodni katyńskiej czy ostatnio nagłaśnianej rzezi wołyńskiej.

Pamiętajmy, że zbrodnia katyńska dotyczyła elity społeczeństwa II Rzeczypospolitej. Zginęli w niej głównie oficerowie rezerwy, inteligencja polska: nauczyciele, profesoria, artyści, lekarze... Oni wszyscy mieli rodziny, z których większość przeżyła wojnę, tworząc w następnych latach silną wspólnotę pamięci ludzi, którzy mają społecznie

istotne znaczenie. Mimo oficjalnego milczenia w PRL przetrwała ona aż do zmiany systemu i odzyskania niepodległości przez Polskę. Podobnie jest z pamięcią o rzezi wołyńskiej. Nie ma zaś czegoś takiego w przypadku „operacji polskiej”.

Można także zaobserwować zjawisko rywalizacji między wspólnotami pamięci. To nie jest nic specyficznego dla Polski, wystarczy spojrzeć, jak różne narody starają się przypominać, że nie tylko Żydzi ginęli z niemieckich rąk w czasie II wojny światowej. W Polsce jeszcze niedawno dało się słyszeć opinie bliskich ofiar nacjonalistów ukraińskich, że oto państwo polskie uczciło Katyń, a o nas nikt nie chce pamiętać, my jesteśmy pokrzywdzeni. Mówię to, nie oceniając, w jakim stopniu te pretensje były słuszne. Wspólnota pamięci katyńskiej, która odegrała niezwykle pozytywną rolę, przechowując przez dziesięciolecia wiedzę o masowym mordzie na polskich oficerach, patrzyła niechętnie na tę – w jakimś sensie konkurencyjną – a znacznie większą zbrodnię sowiecką z lat 1937-1938 na „zwykajnych” Polakach. Konkurencyjną w sensie współczucia, uwagi poświęconej przez społeczeństwo. Mamy však ograniczoną do tego przestrzeń, pulę emocji, wyobraźni, środków finansowych wreszcie. W tej sytuacji wspólnota pamięci „operacji polskiej”, której prawie nie ma, pozostaje najsłabsza. Pozostają tylko ludzie niejako „z zewnątrz”, których bliscy tam nie zginęli. Oni, czyli my, każdy z nas, możemy w sobie odtworzyć współczucie dla jej ofiar, przypomnieć prawdę o tamtej

zapomnianej przez lata zbrodni na ludzkości. Możemy i powinniśmy – w imię ludzkiej solidarności z ofiarami.

Wróćmy do czasów, które ją poprzedziły. Co takiego nastąpiło w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku, że sowieckie władze zdecydowały się na masowe represje wobec mniejszości narodowych, którym wcześniej zapewniały stosunkowo duże pole do rozwoju, tworząc na przykład dwa polskie okręgi autonomiczne – Dzierżyńszczyznę na Białorusi i Marchlewszczyznę na Ukrainie?

Zmieniała się polityka narodowościowa w Związku Sowieckim. Wcześniej polegała ona na wzmacnianiu tożsamości nierosyjskich etnosów. Włodzimierz Lenin uważał bowiem, że największym zagrożeniem dla władzy bolszewików jest rosyjski nacjonalizm, i dlatego dążył do jego osłabienia. Chciał także, by poprzez wsparcie innych kultur zaszczerpać w nich ideologię komunistyczną. Miały być narodowe w formie, a komunistyczne w treści.

I to się nie udało?

Po dwunastu, trzynastu latach polityki „korienizacji”, którą początkowo kontynuował Stalin, zaczął się wyraźny odwrót od niej. Jednym z powodów było jego przekonanie, że nacjonalizm rosyjski nie jest już największym zagrożeniem, a wręcz przeciwnie – oparcie się na nim pomoże zintegrować państwo sowieckie, pierwotnie pomyślane jedynie jako baza do światowej rewolucji. Teraz Rosja miała

być świętą ojczyzną proletariatu, imperium opartym na rosyjskim jądrze. To wtedy Stalin, choć sam nie był Rosjaninem, przywrócił kult dawnych carskich wodzów: Suworowa, Kutuzowa.

Rozkaz numer 00485 Nikołaja Jeżowa, szefa NKWD z sierpnia 1937 roku (poprzedzony decyzją Biura Politycznego WKP(b)), który rozpoczął ludobójczą politykę wobec Polaków, podawał jako powód operacji działalność polskiego wywiadu i podziemnej Polskiej Organizacji Wojskowej w ZSRS. Jakie faktycznie były ich wpływy za naszą wschodnią granicą?

Mogły one dotyczyć co najwyżej ułamka polskiej społeczności w Związku Sowieckim, która według spisu z 1926 roku liczyła 782 tysiące osób (w 1939 roku będzie ich już tylko nieco ponad 600 tysięcy). Oczywiście, zostały przeprowadzone „procesy POW”, które miały udowodnić rzekomą antysowiecką konspirację Polaków, ale faktycznie z polskim wywiadem mogło współpracować nie więcej niż kilkadziesiąt osób. POW była bardzo aktywna na terenie sowieckiej Białorusi i Ukrainy w latach 1921-1922, ale OGPU (późniejsze NKWD) przecieży nie próżnowało i bezwzględnie rozbijało rzeczywistą polską siatkę szpiegowską. Nie oskarżajmy towarzysza Feliksa Dzierżyńskiego, że patrzył przez palce na polskich szpiegów. Tego nikt mu nie zarzuca nawet w sowieckiej czy kontynuującej ją rosyjskiej historiografii. Każdy go tam chwali za czujność rewolucyjną.

Prawda jest taka, że Stalin w latach trzydziestych szykował się do wojny z całym światem. W ramach jej planowania badano możliwe scenariusze i zawsze jako bezpośredni, istotny przeciwnik występowała Polska, w mniejszym stopniu także inne sąsiadujące z ZSRS państwa. Nasz kraj był szczególnie ważny, ponieważ na odcinku europejskim miał najdłuższą granicę z Sowietami i tędy prowadziła droga do Niemiec. Przygotowując się do nieuchronnego starcia, Stalin zakładał, że potencjalną piątą kolumną są mniejszości narodowe, które swoje państwa mają obok. Także we współczesnej Rosji ukazują się książki, których autorzy przekonują, że Polska była wtedy sojusznikiem Hitlera i szykowała się do wojen zaborczych, z których jedną zdążyła wykonać, napałdając w 1938 roku do spółki z III Rzeszą na Czechosłowację i zajmując Zaolzie. Kolejnym obiektem takiej agresji miał być rzekomo Związek Sowiecki, którego spadkobierczynią jest Rosja. W tym kontekście odpowiednio dobrane dokumenty NKWD przedstawiają „operację polską” jako w pełni usprawiedliwione przeciwdziałanie władz sowieckich.

Taka jest też oficjalna linia propagandy kremlowskiej?

Do tej pory w naszej polityce historycznej „operacja polska” prawie nie istniała. Nie było więc potrzeby reagowania ze strony Kremla. Skoro jednak chcemy teraz przywrócić pamięć o tym ludobójstwie, to kremlowscy propagandyści już szykują odpowiedź. Z wyprzedzeniem

urabiają opinię publiczną w Rosji, twierdząc: widzicie, Polacy będą mówić, że niesprawiedliwie zabito u nas dwieście tysięcy ich rodaków, a to przecież byli szpiedzy i agenci polskiego imperializmu, dobrześmy zrobili, wykazaliśmy czujność.

Oficjalna linia polityki historycznej Kremla z grubsza jest taka: Stalin popełniał błędy, a nawet zbrodnie, ale zreintegrował system wokół rosyjskiego jądra i przygotował Związek Sowiecki do wojny, którą ostatecznie wygrał. *Pobieda* jest najważniejsza. Koszty, oczywiście, były, czyli okrutna rozprawa z potencjalną piątą kolumną, opozycją, rozbięciem wewnętrznym – stąd wielki terror. Najgorsze, że zginęło wtedy wielu Rosjan. Dlatego są muzea poświęcone Gułagowi, a Putin odwiedzał nawet jeden z obozów w Butowie pod Moskwą. Ale wszystko to jest robione pod hasłem: cierpieli bracia Rosjanie. Jeśli ktoś inny, to albo pozostaje na marginesie, albo słusznie był prześladowany.

Sam Stalin „cierpiał” na antypolską fobię? Może wspomnienie przegranej wojny w latach 1920-1921 rozbudziło w nim chęć odwetu na Polakach?

Nie sądzę. Badał tę kwestię Hiroaki Kuromiya, znakomity amerykański historyk japońskiego pochodzenia. Stalin nie kierował się specjalnie uprzedzeniami narodowościowymi. Oczywiście, mógł pamiętać porażkę podczas próby zdobycia Lwowa w 1920 roku, ale przy podejmowaniu najważniejszych decyzji kierował się czysto polityczną kalkulacją (mścił się osobiście na niektórych ludziach,

lecz nie na całych narodach). W przypadku „operacji polskiej” czy zbrodni katyńskiej chciał po prostu pozbawić Polskę siły, która będzie przeszkodą dla jego imperialnych planów. Wszystkich Polaków – swoich poddanych, uznał za potencjalnych zdrajców i zdecydował o ich likwidacji: „wykopcie i zlikwidujcie ten polski, szpiegowski brud” – tak brzmiał jego rozkaz dla NKWD. 🏰

Andrzej Nowak jest profesorem nauk humanistycznych, historykiem, publicystą, sowietologiem, laureatem Nagrody im. Jerzego Giedroycia za rok 2012. Pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim i w Polskiej Akademii Nauk.